

Krzysztof Pawłowski
Adam Szymczak

Pawłowski

Biografia

RTCK

Pawłowski. Biografia

Krzysztof Pawłowski, Adam Szymczak dla RTCK SA

Autorzy: Krzysztof Pawłowski, Adam Szymczak

Produkcja: RTCK SA

Nowy Sącz 2021

Wydanie I

© RTCK SA 2021

ISBN: 978-83-66523-84-5

Redakcja: Krystyna Sadecka

Redakcja I wersji tekstu: dr hab. Jadwiga Lizak

Korekta: Seiton, www.seiton.pl

Projekt typograficzny książki, skład i łamanie: Adam Gutkowski,
goodkowskydesign.com

Projekt okładki: Jakub Kosakowski

Zdjęcie na okładce: Dorota Czoch

Zdjęcia wykorzystane w książce pochodzą z prywatnego archiwum
Krzysztofa Pawłowskiego.

RTCK Rób to co kochasz



RTCK SA

ul. Zielona 27, WSB, bud. C

33-300 Nowy Sącz

tel. 531 009 119

sklep@rtck.pl

www.rtck.pl

Dolącz do społeczności ludzi, którzy chcą robić to, co kochają.
Zapisz się na www.rtck.pl, a będziemy Cię wspierać na tej drodze,
wysyłając wartościowe materiały!

Chciałbym być zapamiętany
jako człowiek prawy. Nic więcej.

Krzysztof Pawłowski

Tę książkę dedykuję

mojej Żonie Marysi i Córcie Kindze

w podziękowaniu za miłość, troskę i zrozumienie, jakimi otaczają
mnie na życiowym szlaku

Wnukowi Pacikowi i Wnuczce Pauli,

dzięki którym moje oczy nabierają blasku
i dzięki którym przychodzi jeszcze większe poczucie sensu i speł-
nienia

Współpracownikom, Studentom i Absolwentom WSB-NLU

dziękując za to, że Was wszystkich spotkałem i że dzięki Wam nie-
możliwe stało się możliwe

Przyjaciółom, Kolegom, Znajomym,

z którymi miałem odwagę zmieniać to, co zmienić było można



OD
WSPÓŁAUTORA

Ktoś, z pewnością obdarzony dużą wrażliwością i spostrzegawczością, zauważył kiedyś, że życie człowieka polega głównie na spotkaniach, i to od jakości tych spotkań zależy w dużej mierze jakość całego życia. Gdy się nad tym głębiej zastanowić, trudno z tym stwierdzeniem polemizować. To prawda – to, kogo na swojej drodze spotkamy, może wpłynąć na nas i diametralnie zmienić bieg naszej osobistej historii.

Pan Rektor (MÓJ Rektor) jest takim człowiekiem, że chciałbym, aby każdy mógł spotkać Go na swojej drodze. Ja miałem to szczęście...

Historia naszego spotkania, która doprowadziła ostatecznie do powstania tej książki, sięga 20 lat wstecz, gdy – będąc jeszcze w klasie maturalnej – stanąłem na rozstaju dróg, przed życiowym dylematem, jaki kierunek studiów i jaką uczelnię wybrać. Czy mam szukać we Wrocławiu, który dla mnie, mieszkańca Dolnego Śląska, był najbliższym dużym ośrodkiem akademickim, czy może wyjechać gdzieś dalej od rodzinnego domu?

W dniu, w którym dowiedziałem się o istnieniu WSB-NLU (był to rok 1999 albo 2000), od razu zapragnąłem tu studiować – przyznam, że już nie widziałem alternatywy. A gdy na wiosnę 2001 roku po raz pierwszy przyjechałem do Nowego Sącza, aby wziąć udział w dniach otwartych i obejrzeć szkołę, nie miałem już żadnych wątpliwości, że to będzie moja uczelnia.

Nie pamiętam, czy już podczas wspomnianych dni otwartych, czy też dopiero na inauguracji mojego pierwszego roku usłyszałem po raz pierwszy pana Rektora na żywo. To była magia! Nigdy wcześniej nie miałem okazji słuchać równie inspirującego przemówienia. Nie da się opisać do końca wszystkich poruszeń, jakich wtedy doświadczałem, ale pewne jest, że pan Rektor roztoczył przed słuchaczami aurę niesamowitości i prestiżu. Dosłownie oczarował widownię.

Pan Rektor opowiadał dużo o przyszłości, o perspektywach rozwoju i o tym, co będzie, gdy opuścimy mury uczelni i ruszymy zdobywać

świat! W pamięci utkwiała mi szczególnie anegdota o świeżo upieczonym absolwencie (i to chyba nawet „tylko” licencjata), który na hasło „jestem z WSB-NLU” z miejsca otrzymał posadę dyrektora marketingu w dużej międzynarodowej firmie. Dziś już nie pamiętam jego nazwiska, ale opowieść o jego karierze dała mi niesamowitego kopa. Utwierdziła mnie w przekonaniu, że dobrze zrobiłem, wybierając tę właśnie szkołę.

Nigdy bym nie przypuszczał, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym otrzymam propozycję współtworzenia biografii Człowieka, który tę szkołę stworzył i który zawsze był dla mnie (i jest nadal) Mistrzem, Inspiratorem i Liderem.

Mój związek z marką uczelni oraz głównym Bohaterem tej książki jest – co oczywiste – bardzo emocjonalny. Jako student spędziłem w murach WSB-NLU sporą część życia i widziałem uczelnię od środka w jej najlepszych latach funkcjonowania. Każdy dzień spędzony na ćwiczeniach i wykładach oraz czas po zajęciach, gdy mogłem przebierać wśród niezliczonych aktywności studenckich, coraz szerzej otwierał mi drzwi do nowego, lepszego świata.

Pozwalam sobie wspominać tu krótko o sobie i o swoich doświadczeniach związanych ze szkołą, aby Czytelnik mógł zyskać pewność, że wszystko, co zostało napisane w tej książce na temat relacji wykładowców i pracowników szkoły ze studentami, jest prawdą. Było dokładnie tak, jak pisze pan Rektor. Doświadczylem tego na własnej skórze. Dlatego dla mnie ta szkoła na zawsze pozostanie synonimem jakości, wysokiej klasy, światowych standardów i... rodzinnego ciepła.

Zapędziłem się we wspomnieniach, a przecież nie jest to książka ani o mnie, ani nawet o WSB... To prawda. Co więcej, pamiętam, że już podczas jednej z naszych pierwszych rozmów redakcyjnych usłyszałem od pana Rektora mądrą radę: „Adamie, odsuń na bok emocje związane ze mną i ze szkołą”. Starałem się tego trzymać, choć, przyznam, nie było to łatwe. Gdy poznawałem szczegóły fascynującej życiowej drogi mojego Rektora, gdy słuchałem Jego wspomnień i Jego osobistej narracji podczas naszych licznych spotkań, rodził się we mnie coraz większy

szacunek i podziw dla tego niezwykle pracowitego i pełnego życiowej pasji człowieka.

Gdy dziś zastanawiam się nad moją rolą podczas tworzenia tej biografii, przychodzą mi na myśl słowa, które niegdyś wypowiedziała Matka Teresa z Kalkuty: „Jestem ołówkiem w rękach Boga”. Naturalnie w moim przypadku kontekst był nieco inny, ale tak czy inaczej tym właśnie starałem się być: „ołówkiem”, który umożliwił przeniesienie na papier myśli i słów, wspomnień i dygresji bohatera tej książki – pana Rektora Krzysztofa Pawłowskiego. A okazało się to zadaniem niezwykle wymagającym i czasochłonnym.

Podstawą do napisania publikacji stały się wspomnienia, które pan Rektor spisał tuż po swoim drugim udarze. Tekst – napisany z niemałym trudem – liczył aż milion znaków (i to bez spacji)! Ta objętość robiła ogromne wrażenie na wszystkich, którzy go czytali. Ale na mnie jeszcze większe wrażenie zrobiło coś innego... Byłem mocno poruszony tym, że człowiek po dwóch udarach, z których drugi miał wyjątkowo ciężki przebieg, borykający się z częściową utratą pamięci i mający problemy z pisanem, podjął się tak nieprawdopodobnie trudnego zadania i to zadanie wykonał. Bazując na własnych kalendarzach z ostatnich dekad, w których aż roi się od faktów, dat, nazwisk oraz subiektywnych opinii i spostrzeżeń, napisał historię swojego życia. Historię, która... przywróciła go do życia. Okazało się bowiem, że pisanie miało zbawienny, wręcz terapeutyczny wpływ na przebieg rehabilitacji poudarowej. Nie ukrywam, że mnie to osobiście wzrusza. Co tu dużo mówić: jestem z mojego uczelnianego Taty bardzo dumny!

Wypada mi na koniec napisać kilka zdań o tej książce. Jako jej współautor postanowiłem uszanować pamiętnikarsko-gawędziarski styl wielogodzinnych rozmów z panem Rektorem. Mam pełną świadomość, że chwilami funkcję drugiego narratora książki przejmuje Kalendarz, bezlitośnie chronologiczny i faktograficzny. Nic dziwnego – w odniesieniu do wielu wydarzeń z przeszłości jest on jedynym świadkiem, a już na

pewno bardziej wiarygodnym niż zawodna czasem pamięć osoby po ciężkim udarze mózgu. To właśnie z tego powodu oddawałem czasem Kalendarzowi głos, choć – przyznaję – lubił się „rozgadywać” albo odchodzić od tematu. Z drugiej strony, czy to coś złego? Czy jest lepszy sposób na poznanie „duszy” człowieka, niż wgląd w jego osobiste zapiski tworzone „na żywo”, „na gorąco”, pod wpływem emocji chwili? Chciałoby się powiedzieć: pokaż mi swoje kalendarze, a powiem ci, kim jesteś.

Taka jest właśnie ta biografia. Co tu kryć, od Czytelnika będzie wymagała empatii i wyrozumiałości, bo też powstawała w niezwykle trudnych okolicznościach. Ale gwarantuję, że jej lektura niesie w sobie obietnicę nagrody: daje unikalną szansę na poznanie wielkiego człowieka: patrioty, polityka, naukowca i wizjonera, oraz wejście w jego sposób myślenia. Staje się tym samym zaproszeniem, by zerknąć za kulisy zdarzeń, wchłonąć atmosferę minionych lat i dać się – raz jeszcze – oczarować komuś, kto tak wiele razy porywał słuchaczy podczas swoich publicznych wystąpień.

Chciałbym w tym miejscu podziękować kilku niezwykłym osobom, bez których ta książka nigdy by nie powstała.

Przede wszystkim wyrazy wdzięczności należą się samemu panu Rektorowi, za to, że to zrobił! Że był jak ten buldog, o którym wspominał w książce, że złapał się pomysłu na książkę i – mimo różnych przeciwności – nie puścił! Panie Rektorze, liczę na to, że gdy już weźmie Pan do ręki egzemplarz tej książki, będzie mógł Pan wypowiedzieć swoje ulubione słowo z czasów badań naukowych: „Mam”!

Drugą osobą, której chcę podziękować, jest żona pana Rektora, pani Maria, która uśmiechem witała mnie w swoim domu, gdy przychodziłem na długie rozmowy w sprawie książki. Tak na marginesie, za każdym razem byłem częstowany wyśmienitą kawą, jedną z najlepszych, jakie w życiu piłem, i zjadałem się pysznymi ciasteczkami owsianymi z żurawiną, które niezmiennie podawała nam właśnie Pani Domu.

Bardzo ważną osobą, której chcę gorąco podziękować, jest Kamil Zbozień, właściciel RTCK i wydawca tej książki. Od samego początku wspierał mnie, pytał o rezultaty pracy i dopingował, nie mogąc doczekać się dnia, w którym weźmie książkę do ręki. To było dla mnie niczym wiatr w żagle!

Wielkie podziękowania należą się Krysi Sadeckiej, cudownej pani redaktor, której praca redakcyjna i cenne podpowiedzi znacznie wzbogaciły tekst publikacji. Bez Krysi to nie byłoby to samo! I – choć nie poznałem osobiście – to dziękuję także pierwszej pani redaktor, która zmierzyła się z pierwotną „milionową” wersją tekstu pana Rektora, pani dr hab. Jadwidze Lizak. To był kawał dobrej roboty! A na koniec dziękuję całej ekipie RTCK, która w czasie, gdy byłem zajęty pracą nad książką, musiała znosić niedogodności związane z moją ograniczoną dostępnością. Jesteście najlepsi!

Adam Szymczak
współautor

A monochromatic blue-toned photograph of an older man with glasses, wearing a dark suit, white shirt, and striped tie. He is sitting at a desk, resting his chin on his right hand, looking towards the camera with a slight smile. In front of him is a laptop. The desk is cluttered with stacks of papers, a remote control, and other office items. Behind him are tall bookshelves filled with books and various objects, including a small model of a building. The overall atmosphere is professional and scholarly.

PROLOG
9 LIPCA 2019

Wtorek 9 lipca nie zapowiadał się jakoś szczególnie... Ot, normalny letni dzień.

Przed południem zawiozłem Paulę na lekcję muzyki do mojej krewniaczki Marty – córki nieżyjącej już kuzynki Dziunki ze strony taty, a po skończonych zajęciach odwoziłem ją do domu.

Koło 14 poczułem się senny, położyłem się więc na łóżku w ubraniu z zamiarem ucięcia sobie krótkiej drzemki. Nastawiłem w mojej starej Nokii budzik na godzinę 15 i położyłem telefon tuż obok siebie. Dziwne... Zazwyczaj tego nie robiłem.

Dźwięk budzika gwałtownie wyrwał mnie ze snu. Próbowałem, co oczywiste, usiąść na łóżku, ale... z moim ciałem działo się coś dziwnego. Zupełnie nie potrafiłem się ruszyć! Pamiętając, gdzie położyłem telefon, zadzwoniłem do Marysi. Zapewne zdołałem coś powiedzieć, bo skutek był natychmiastowy: w jednej chwili Marysia z Kingą pojawiły się przy mnie...

W jaki sposób znalazłem się w karetce, a potem w sądeckim szpitalu, tego już nie pamiętam. Wiem tylko z całą pewnością, że pogotowie wezwła żona po kilku nieudanych próbach skontaktowania się z neurologiem. Jeszcze w domu dostałem zastrzyk...

Musiałem mieć krótkie przeblyski przytomności, bo pamiętam niewielką wzrostem lekarkę – neurolog z sądeckiego oddziału, moment, jak zdejmowali mi łańcuszek z szyi przed tomografem, oraz fakt, że bardzo szybko znalazłem się z powrotem w karetce, którą miałem pojechać do Kliniki Neurologicznej do Krakowa. Cały czas martwiłem się, czy Kinga na pewno ma dla mnie teczkę z dokumentami, którą powinienem był zabrać ze sobą do szpitala, potrzebowałem zapewnienia, że tateczka trafi ze mną do karetki.

Jechaliśmy na sygnale, bardzo szybko. Samochody robiły dla nas korytarz. Ale i tak ta podróż do Krakowa była horrorem. Wiedziałem

już wtedy, że to udar i że jest ze mną krucho, a przez całą drogę z Nowego Sącza do Brzeska, gdy bez przerwy „podskakiwałem” na łóżku, miałem w głowie wyłącznie jedną myśl: „Ta droga jest w koszmarnym stanie! Komuś trzeba to zgłosić!!!”. Rozmyślałem też o tym, że łóżka w karetkach powinny być lepiej resorowane, bo po takim trzepaniu pacjent może nie przeżyć podróży! Na szczęście od Brzeska wjechaliśmy na autostradę A4 i jazda była już gładka...

Kompletnie nie ruszyły mnie słowa sanitariusza, że podróż trwała tylko godzinę i 5 minut ani też informacja, że teraz przetransportują mnie na I piętro, gdzie przejdę operację mózgu...

Na całe szczęście stało się trochę inaczej. Na parterze, na oddziale udarowym, lekarz, którego nazwiska nie zapamiętałem, choć niewątpliwie mi się przedstawiał, oświadczył, że przeanalizował zapis tomograficzny mojej głowy i spróbuje mnie leczyć zachowawczo, bez operacji. Cóż, miałem szczęście, że wszystko zadziało, jak trzeba, i sądecki szpital błyskawicznie przesłał zapis... To od tego lekarza dowiedziałem się też, że przeszedłem udar mózdzku i to dlatego musiałem leżeć nieruchomo.

Wkrótce przy moim łóżku pojawiły się znajome twarze: Marysia i Kinga z dziećmi, Patrikiem i Paulą. Pomyślałem, że też musieli jechać bardzo szybko...

Nie pamiętam, żebym w jakiś szczególny sposób rozważał, czy wyjdę z tego udaru cało albo w jakim stanie będę później. Mniej więcej wiedziałem, co mnie czeka w najbliższym czasie. Miałem już przecież na koncie inną podobną przygodę – udar, który przeszedłem w listopadzie 2015 roku. Było dla mnie oczywiste, że na klinice się nie skończy. Po wyjściu ze szpitala z pewnością wyląduję w jakimś ośrodku rehabilitacyjnym... Liczyłem jednak na to, że może tym razem będzie lepiej – nie

byłem przecież aż tak głęboko sparaliżowany jak poprzednio. Na razie jako pacjent kliniki musiałem uzbroić się w cierpliwość...

Podczas całego mojego dziesięciodniowego pobytu w Krakowie gromadka moich bliskich zamieszkała w naszym krakowskim mieszkanku przy Obozowej, tak więc codziennie ktoś z rodziny mnie odwiedzał.

Wypuścili mnie w sobotę 20 lipca. Wracalem do Sącza wieziony przez Kingę, w towarzystwie żony i wnuków. Było inaczej... Zajechaliśmy pod dom. Zostałem przewieziony na wózek przez garaż pod schody. Zrozumiałem, że czeka mnie teraz „transport” na piętro: czternaście schodów z poręczami zainstalowanymi po udarze przed czterema laty. Dziewczyny zatroszczyły się o męską pomoc dla mnie, bo wyglądało na to, że będę musiał być wniesiony, ale na szczęście okazało się, że to niepotrzebne. Poręcz i lekka asekuracja wystarczyły. Zawlokłem się na górę, na poziom naszej sypialni. Tam czekało już na mnie krzesło na kółkach...

Krótko cieszyłem się domem. Już w poniedziałek Kinga przewiozła mnie do Tukana – ośrodka rehabilitacyjnego w Łabowej, niedaleko Nowego Sącza. Cały czas wspominałem swój poprzedni stan poudarowy, gdy byłem sparaliżowany, i żyłem nadzieją, że tym razem wrócę do domu po 3 tygodniach. Jakże bardzo się rozczarowałem, gdy lekarze oświadczyli z niezachwianą pewnością, że spędzę w ośrodku 9 tygodni...

Od samego początku ostro wziąłem się za siebie. Dość szybko mogłem już poruszać się na wózku, co dawało mi choćby częściową niezależność, szczególnie przydatną przy korzystaniu z toalety – ta znajdowała się zaledwie dwa metry od mojego łóżka.

Nie obyło się bez wpadek. Przeniesienie na niepewnych nogach ciężaru ciała z łóżka na wózek stojący obok nie było łatwe. Raz skończyło

się głośnym upadkiem, tak że siostry musiały mnie „zbierać” z podłogi, bo już od kilku lat nie potrafię wstać z podłogi bez pomocy.

Kiedy już mogłem poruszać się samodzielnie na wózku, popołudniami, w małym pokoiku na naszym piętrze, nazywanym świetlicą, zacząłem ćwiczyć pisanie, gdyż jednym ze skutków udaru była niemal całkowita utrata tej podstawowej umiejętności. Było źle. Ja, który zawsze chlubiłem się umiejętnością szybkiego, a zarazem czytelnego pisania, teraz musiałem uczyć się stawiać pojedyncze litery niczym przedszkolak. Później szło mi nieco lepiej, ale prawda jest taka, że do dzisiaj nie odzyskałem poprzedniej sprawności... Ponieważ jednak lubię szukać dobrych stron każdego zdarzenia, uznałem, że ta moja ułomność da mi okazję do przestawienia się na pisanie na komputerze. Tak też się stało.

Nauka pisania stała się moim codziennym rytuałem. Ćwiczyłem przy świetlicowym stole zawsze przed obiadem, a czasami także i po posiłku. Jako że z pomieszczenia było wyjście na nieduży balkon, często przechodzili tamtędy palacze. Któryś z nich, widząc mnie codziennie z długopisem w dłoni, zagadnął, czy ja tam w ośrodku założyłem swoje biuro.

W każdym tygodniu podczas pobytu w Tukanie wizytowało mnie rodzeństwo: siostry Iwona i Renata oraz brat Piotr. Moja Marysia przyjeżdżała codziennie, za każdym razem witając mnie niezmiennie radosnymi słowami: „Znowu przyjechałam na czele peletonu!”. Bo trzeba wiedzieć, że choć moja żona jest dobrym kierowcą, to bliższe są jej krótkie, miejskie dystanse. Pokonanie dwudziestokilometrowej trasy z Sącza do Łabowej zgodnie z przepisami, czyli głównie 50 km na godzinę, kończyło się tym, że za samochodem Marysi jechało kilka, a czasem i kilkanaście innych pojazdów (na tej trasie trudno wyprzedzić). Ale nawet klaksony mniej cierpliwych kierowców nie były w stanie wybić mojej Marysi z rytmu...

Takie to zabawne, z pozoru mało znaczące drobiazgi pozwalały mi przetrwać najtrudniejsze chwile.

Obok spotkań z bliskimi najważniejszy podczas pobytu w Tukanie był dla mnie termos z dobrą kawą. Kocham kawę. Zawsze piję kawę rano i drugi raz o 16. Tę pierwszą do śniadania z mlekiem, tę drugą, już czarną, ale za to z małym ciastem, najlepiej szarlotką. I ten właśnie codzienny rytym picia kawy bardzo chciałem utrzymać także podczas pobytu w centrum rehabilitacji. Gdy jeszcze nie korzystałem z wózka, termos z nasypaną kawą, przywieziony przez Marysię, zabierał do kuchni i zalewał wrzątkiem Staszek – cudowny facet, którego poznałem tam na miejscu. Rehabilitował się po strasznym wypadku: uciął sobie rękę piłą tarczową. Do dziś nie wiem, skąd ten człowiek brał tyle pogody ducha!

W ogóle szybko zorientowałem się, że – w porównaniu z innymi pacjentami ośrodka – mój stan jest niezły, więc nie rozczulałem się nad sobą.

Leżałem w trzyosobowej sali, moi sąsiedzi w trakcie 9 tygodni pobytu kilkakrotnie się zmieniali. Nie wszyscy mieli tę możliwość, co ja: samodzielnego pojechania na wózku, a później pójścia na własnych nogach czy to do kuchni, czy na świetlicę, czy na ćwiczenia.

Ćwiczenia były bardzo różne, rozmaite też mieliśmy przyrządy na sali. Obok normalnego treningu miałem indywidualne zajęcia z rehabilitantką Olą, która, gdy wyszedłem z ośrodka, przychodziła do mnie prywatnie do domu aż do początku pandemii koronawirusa.

Głównie musiałem zadbać o ręce i nogi, bo udar powoduje trudności w poruszaniu kończynami, aż do całkowitego paraliżu włącznie. Najbardziej polubiłem „rowerek”, bo na nim mogłem bić kolejne rekordy, zarówno w dystansie, jak i w sile oporu.

W tygodniu szło nieźle, nie odczuwałem nudy, bo całe dnie miałem zapelnione treningami. Gorzej było z ćwiczeniami w soboty, kiedy otwarta była tylko jedna mała sala, a najgorzej w niedzielę, gdy wszystko było pozamykane.

Miałem na szczęście ze sobą cały zestaw płyt z moimi ulubionymi koncertami i muzyką fortepianową oraz książki, choć tu niestety też

było pod górkę – nawet te z większym drukiem niełatwo było czytać. Właściwie więc tylko dzięki muzyce, którą słuchałem wieczorami, byłem w stanie dotrzeć do 22.30, kiedy brałem ostatnie lekarstwa.

W czasie pobytu w ośrodku całkiem szybko dotarło do mnie, że lekarze mieli rację – o żadnym wyjściu po trzech ani nawet po sześciu tygodniach nie mogło być mowy. Nogi nie chciały mnie słuchać i, choć bardzo przykładałem się do ćwiczeń, wyszedłem dopiero po pełnych dziewięciu tygodniach – a i to tylko dlatego, że wytłumaczyłem lekarzom prowadzącym ośrodek, że muszę wrócić do domu, bo mamy z żoną ważny jubileusz.

Próg domu przekroczyłem 27 września, a więc dokładnie w dniu 50. rocznicy naszego ślubu.

Jeszcze będąc w Tukanie, postanowiłem, że co by się nie działo, polecę w listopadzie do Nowego Jorku i nikt mnie od tej decyzji nie powstrzyma. Wytłumaczyłem sobie, że jeżeli przeżyłem udar i wracam do umysłowej i fizycznej formy, to muszę żyć tak, jak przed udarem. A jedną z moich normalnych aktywności był lot, zwykle właśnie w listopadzie, do Nowego Jorku na Radę Dyrektorów Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności.

Marysia ostro się sprzeciwiała, a gdy zagadnąłem jednego z lekarzy w Tukanie o ten lot, to prawie mnie zwyzywał – tyle zagrożeń się z tym łączyło...

Jest dość powszechne przekonanie, że przy każdym starcie i lądowaniu samolotu pasażer jest poddany nagłym zmianom ciśnienia. Ja z kolei uważam, że w samolotach pasażerskich ciśnienie powietrza jest utrzymywane na tym samym poziomie. Jakby nie było, dla mnie udział w listopadowej Radzie Dyrektorów stał się „być albo nie być”. Żonę

przekonała na całe szczęście prof. Ania Fornalczyk, też lecąca na Radę tym samym samolotem, w dodatku mająca miejsce niemal obok mnie.

Ostatecznie poleciałem.

I nic nadzwyczajnego się nie stało. Jedynie tym razem podarowałem sobie wizytę w Metropolitan Museum – jak to miałem w zwyczaju. Pod datą 15 listopada w swoim kalendarzu zanotowałem – prócz notki o powołaniu mnie do Rady do 2021 roku – że w czasie wspólnego lunchu wszyscy mnie podziwiali...



WSTĘP
KOCHAM CIĘ,
ŻYCIE...

Mogłem już parę razy nie żyć

7 stycznia 2020 roku, sześć miesięcy po udarze, doznałem swoistej iluminacji, wręcz naglącego impulsu, że muszę wykorzystać dany mi czas, aby spisać historię mojego dotychczasowego życia.

Gdy spoglądam w przeszłość, to widzę, że prowadziłem działalność w co najmniej czterech, całkowicie różnych obszarach. Przez dziewiętnaście lat pracowałem jako badacz – fizyk działający na pograniczu produkcji i technologii. Byłem aktywny w obszarze NGO, jako współtwórca i przez sześć lat prezes Klubu Inteligencji Katolickiej. Przez cztery lata byłem senatorem Rzeczypospolitej Polskiej – senatu I i II kadencji, politykiem w najciekawszym okresie tworzenia niepodległej Polski. Przez kolejne dwadzieścia lat tworzyłem, a później rozbudowywałem unikalną w naszej współczesnej historii szkołę wyższą – WSB-NLU w Nowym Sączu.

Patrząc na historię Polski, mogę stwierdzić, że należę do najszczęśliwszego pokolenia w naszej historii, gdyż przeżyłem już 75 lat bez wojny czy innych krwawych wydarzeń, jakie mogłyby wpłynąć na moje losy. W swoim dorosłym życiu natomiast doświadczyłem dwóch rewolucji, które wyraźnie zdeterminowały przyszłość każdego z nas, w tym i moją. Myślę tu o rewolucji „Solidarności”, która zniszczyła system komunistyczny – wydawało się, że nie do ruszenia za mojego życia – i całkowicie przeobraziła życie milionom Polaków, oraz o rewolucji technologicznej, tj. o wprowadzeniu do powszechnego użytku komputera, Internetu, telefonu komórkowego, szczególnie iPhone’a, i powstaniu mediów społecznościowych. Żyję w okresie, w którym doszło wręcz do eksplozyjnego otwarcia świata, czego dowodem są studenci WSB-NLU pochodzący z 37 państw oraz kariery setek naszych absolwentów.

Obecnie jestem głównie kojarzony z WSB-NLU. I choć już od dziewięciu lat nie pełnię funkcji rektora, to bardzo często jestem z tą właśnie funkcją utożsamiany, a moi absolwenci uparcie zwracają się do

mnie: „Panie Rektorze”. Wciąż mam w sobie tamtą pasję, radość i od czuвам ogromną satysfakcję z budowania niezwyklej instytucji, przez wielu uważanej za niemożliwą do utworzenia.

Satysfakcję przynosi mi także ten najtrudniejszy okres w szkole – to jest lata 2007–2011, kiedy mimo stresu i nieustannych napięć – nauczy-łem się bardzo wiele. To dopiero po tym okresie, jak uświadomił mi to jeden z najbliższych współpracowników, pan Rafał, zasłużyłem na te wszystkie nagrody, które wcześniej otrzymałem.

Przygotowując kiedyś wystąpienie na konferencję do Berlina, postanowiłem zatytułować je: „Opowiem wam bajkę”. Tak to postrzegam: Powstanie WSB-NLU czy Miasteczka Multimedialnego wygląda nie na realne działanie, ale na taką właśnie swoistą bajkę. Bo jak inaczej określić przedsięwzięcie, w które mało kto na początku wierzył? W Warszawie w latach 90. profesorowie różnych uczelni zakładali się nawet, kiedy Pawłowski padnie! Fakty były takie, że nie miałem żadnego wsparcia: ani pieniędzy, ani zaplecza, ani know-how. Miałem tylko (!) wizję, ideę, pewność siebie, pasję i kreatywny umysł. Szukałem rozwiązań. I byłem zdeterminowany, by osiągnąć coś wielkiego.

Nie obyło się bez zapłacenia wysokiej ceny. Mam już za sobą sześć podbramkowych sytuacji zdrowotnych: ciężkich chorób lub wypadków, w pięciu przypadkach związanych z moim mózgiem. Mogłem więc parę razy już nie żyć. Ostatecznie, po drugim udarze zabrałem się za pisanie historii mojego życia, która także i mnie, w czasie pisania tej książki, wydaje się coraz bardziej barwna.

Gdybym miał w największym skrócie zrelacjonować swoje życie, to powiedziałbym za moją ulubioną piosenkarką, Edytą Geppert: „Och życie, kocham cię nad życie, pragnę cię w zachwycie”.

Kocham swoje życie za cudowną rodzinę, za niezwykle silę zbierania się z kolejnych chorób, za wyjątkowe relacje w przeszłości z moimi studentami, a teraz – niemal codziennie – z moimi absolwentami, za wspaniałe pasma Beskidu Sądeckiego, które nadal mnie otaczają, a które w przeszłości wydeptałem, za niesłychaną odporność na stresy i za wszystkie dobre, i złe przygody, które stały się moim udziałem.

Chcę wyrazić i mocno stwierdzić, że bez wsparcia mojej rodziny, a zwłaszcza żony Marysi nie byłbym w stanie wytrzymać tak niesamowicie intensywnego stylu życia. Nawet gdy doświadczałem ogromnego stresu i wszechogarniającego zmęczenia, wiedziałem, że po powrocie do domu doznam wsparcia, spokoju i miłości. Marysia, która pomagała mi przetrwać niejedną burzę i towarzyszyła mi podczas ciężkich chorób jest, obok mojej córki Kingi, jedyną kobietą mojego życia. Byliśmy i nadal jesteśmy zgodnym małżeństwem. Tak było w okresie wspólnej pracy w WSB-NLU, tak jest i dzisiaj.

Kinga także jest moją wielką miłością. Moja córka przez szereg lat była w dodatku jednym z najważniejszych moich współpracowników. Po maturze zdecydowała się na studia na naszej uczelni, później ukończyła MBA w Maastricht, studia magisterskie na SGH, podyplomowe w USA, pracowała ze mną przez wiele lat, a od 2015 roku mieszka z dziećmi w Rydze. W ostatnich latach Kinga porzuciła pracę menedżera na rzecz samodzielnego wytwarzania kosmetyków naturalnych. Cieszę się, gdy widzę, że jest szczęśliwa. Razem z dziećmi przyjeżdża regularnie na Boże Narodzenie, często też na Wielkanoc, no i zawsze na całe wakacje – na ponad 2 miesiące lata. Ale nowe technologie, m.in. WhatsApp, pozwalają mi zachować z Kingą i wnukami bardzo bliską więź przez okrągły rok.

Jesteśmy z Marysią szczęśliwymi dziadkami, mamy dwoje wnucząt, które są celem naszego życia – Patrika urodzonego w 2006 roku i Paulę, która przyszła na świat w 2013 roku. Oszalałem ze szczęścia, gdy Kinga powiedziała mi, że jest w ciąży, a jeszcze bardziej po

urodzeniu „Pacika” – który przyszedł na świat w Dniu Dziadka. Pamiętam, że nie było wtedy jeszcze obecnych mediów społecznościowych, więc wysłałem do kilkuset moich znajomych SMS-y z wiadomością, że zostałem dziadkiem. Kinga opowiadała mi później, że – gdy przedstawiała się różnym osobom na konferencjach w Warszawie – wiele razy słyszała opowieści o wiadomościach rozesłanych przez oszalałego ze szczęścia dziadka (a minęło już przecież wiele lat). Patrik, nazywany przeze mnie pieszczotliwie Pacikiem, ma w chwili pisania tej książki 14 lat. I oświadczam, że zamierzam jeszcze pożyć kilka lat, przynajmniej do ukończenia przez Pacika osiemnastego roku życia, żebyśmy razem na tarasie naszego domu mogli popijać wino, a ja będę mu opowiadał o swoim życiu, licząc na to, że kilka rzeczy z tych rozmów zapamięta...

Zawsze powtarzam, że mam bardzo pojemne serce

Gdy byłem rektorem WSB-NLU, studia stacjonarne na naszej uczelni ukończyło około sześć tysięcy studentów. Drugie tyle ukończyło studia niestacjonarne. Od wielu lat zwracałem się do moich studentów po imieniu, a teraz tak samo zwracam się do absolwentów. Fakt, że wpłynąłem na los wielu, nawet w bardzo małej części, przynosi mi niesamowitą radość. Każdego studenta uważam za swoje dziecko. Na pytanie, jak można mieć kilkanaście tysięcy dzieci, zawsze powtarzam, że mam bardzo pojemne serce. Kocham młodych ludzi i lubię patrzeć, jak dojrzewają. Wielką frajdę sprawiało mi przez te wszystkie lata pracy na uczelni, a teraz także poza nią, przyglądanie się, jak się te moje dzieci rozwijają i jak zdobywają świat.

Projekt szkoły od samego początku był szalony, zupełnie nieprzystający do tamtych czasów. Ktoś mógłby zapytać brutalnie: „To po cholere, człowieku, to zrobisz?”. Moja odpowiedź jest prosta: Zrobiłem

to dla tych kilkunastu tysięcy ludzi, którzy tę szkołę skończyli, a szczególnie dla sześciu tysięcy studentów stacjonarnych. Większość z nich nie uzyskalaby takiego „powera” w życiu, gdyby nie moja szkoła. A że projekt był szalony i nieprzystający do rzeczywistości? Na całe szczęście ja o tym nie wiedziałem.

Moja miłość i do Sądecczyzny, i do Polski była też szalona. Nie miała nic wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Ale tak to już chyba jest, że właśnie takie szalone projekty dają później najlepsze efekty. Gdyby ktoś mi próbował dzisiaj spojrzeć w oczy i powiedzieć: „Człowieku, przegrałeś projekt, przegrałeś życie”, to moją odpowiedzią dla niego będą nazwiska moich studentów i absolwentów. Sami oni wystarczą za całą odpowiedź: Gdyby nie ta szkoła, gdyby nie ten szalony projekt, aby stworzyć uczelnię na najwyższym poziomie, tysiące ludzi miałoby znacznie mniejsze możliwości do życia i rozwoju. Wiele już razy słyszałem, że zasługuję na pomnik. Ale po co mi pomnik, skoro ja mam 6 tysięcy pomników w Polsce i na świecie? Po cholere mi więcej?

Na samym początku działania naszej WSB-NLU władze National Louis University, widząc nasz rozpęd i coraz wyraźniejsze zainteresowanie Polską dużych amerykańskich korporacji, zorganizowały w Chicago krótką, może dwugodzinną konferencję promocyjną szkoły, a zarazem NLU, z moim udziałem. Pamiętam, jak tuż przed konferencją uzgadniałem z organizatorami jej przebieg. Nagle zeszytywniałem. Zobaczyłem przygotowany przez organizatorów slajd, który pokazywał na mapie Europy Nowy Sącz. Moje miasto znajdowało się dokładnie w środku Europy. Rozchodziły się z niego strzałki do jedenastu europejskich stolic: Sztokholm, Moskwa, Kijów, Bukareszt, Sofia, Ateny, Budapeszt, Rzym, Praga, Paryż, Bonn (do 1991 r. Bonn było stolicą Niemiec).

We wszystkich tych miastach gościłem przynajmniej jeden raz. Czy to nie zastanawiające, że na mapie nie było Warszawy?

Tak sobie myślę... Tamta mapa pokazywała proroczo, po pierwsze, moje marzenia, a po drugie, sposób mojego myślenia i działania. Tak to właśnie sobie wymarzyłem, że instytucja, którą tworzyłem w Nowym Sączu, wpłynie na losy Europy poprzez kształcenie studentów, że z Nowego Sącza wyjadą absolwenci na całą Europę. I tak się stało! Twórca tej mapy nie przewidział jedynie, że moi absolwenci będą żyli i pracowali także w Korei, Japonii, Chinach, Australii, Nowej Zelandii, Argentynie, Kanadzie, nie wspominając o kilkuset pracujących w Stanach Zjednoczonych. Tak. Dziś czuję się spełniony i uważam, że było warto.

Któregoś dnia – a było to w czasie największych sukcesów WSB-NLU – jeden z naszych profesorów przyniósł mi do przeczytania pracę licencjacką swojej studentki, która miała dotyczyć mojej drogi liderowania. Jako że nic jej się z moich działań nie zgadzało ze znanymi jej teoriami na temat przywództwa, to zdesperowana na koniec pracy przytoczyła anegdotę o charakterze przepowiedni, którą gdzieś wyszukała, a która pochodziła z dworu brytyjskiej królowej. Głosiła ona, że jeżeli ktoś z rodziny królewskiej urodzi się w dniu, miesiącu i roku kończącym się na tę samą cyfrę, to czeka go wielka kariera.

Ja urodziłem się 26 czerwca 1946 roku. Cyfry się zgadzają – reszta domaga się weryfikacji.

Zapraszam Cię, Drogi Czytelniku, do poznania mojej historii.



Ze współautorem, podczas Zjazdu Absolwentów na XXX-lecie WSB-NLU

SPIS TREŚCI

Od Współautora	13
Prolog, 9 lipca 2019	21
Wstęp. Kocham cię życie...	31
Ten pan zabił twojego tatę!	41
Początek studiów to był szok...	59
Pierwsza praca – decyzję podjąłem natychmiast	75
Pierwsze lekcje polityki i „przedszkole” edukacji	89
Nie byłem typem „politycznego gangstera”	105
WSB-NLU. Dzieło mojego życia...	135
lata 1991-1996	136
1997 – rok przejściowy	173
lata świetności 1998-2007	177
lata 2008-2011 – czas kryzysu i próby ratowania uczelni	325
rok 2012 – końcowy rok mojej aktywności w WSB-NLU	398
Raport Rektora	407
Życie po życiu	425
Zamiast zakończenia	457